

WARSZAWA
Lipiec 2010

Nakład 2000 egz.
Redaktor prowadzący:
Ola Rządewska
Projekt graficzny:
Anna Ogórek

Wydaje: STOWARZYSZENIE
KONCENTRAT
www.koncentrat.org.pl

Prawa lewa strona



*O co w tym
wszystkim chodzi,
czyli kilka słów
od redakcji*

Miało być o stereotypach. Tych, które pozornie ułatwiają nam życie, a tak naprawdę sprawiają, że poruszamy się tylko po powierzchni wydarzeń. Zajrzeliśmy więc pod podszewkę. I okazało się, że Warszawa jest inna, niż nam się wydawało. Poczuliśmy się bezpiecznie na Pradze. Zjedliśmy leniwe w barze mlecznym. Znaleźliśmy kosztowną restaurację i dom, w którym straszny. Wzięliśmy udział w marszu żywych trupów. Czytaliśmy napisy na murach i przypomnieliśmy sobie Łodzię Milicjantkę. Włoczyliśmy się po klubach, żeby poznać młode, warszawskie zespoły i wertowaliśmy pożółkłe książki w antykwariatach. Sprawdziliśmy, gdzie chcą mieszkać warszawiacy i skąd się biorą miejskie legendy. Staraliśmy się przy okazji nie wpaść z deszczu pod rynnę – bo przecież od stereotypów nie tak łatwo się uwolnić. Czy się nam udało? Oceńcie sami. Ta gazeta to efekt warsztatów dziennikarskich, które odbywały się przez ostatnie dwa miesiące. Spotykaliśmy się m.in. w kawiarni Legalna na Grochowie, w Kępa Cafe na Saskiej Kępie, w Obiektie Znalezionej w podziemiach Zachęty, w zoliborskim Żywieliu, w kawiarni Filtry na Ochocie. Poznawaliśmy różne zakamarki miasta i samych siebie. Zmierzyliśmy się z pisaniem i przede wszystkim ze skracaniem tekstów. Dzielnie walczyliśmy o każdy akapit.

Zyczliwym okiem spójrzcie na efekty naszej pracy. Parafrazując Woody'ego Allena – gdy byliście w wieku autorów tych tekstów, mieliście po 17 lat. Zyczymy miłej lektury.

• Anna Białkiewicz
• Ola Rządewska



STOWARZYSZENIE
DZIENNIKARZY I DOKUMENTALISTÓW

POD POWIERZCHNIĄ MIASTA

O burzeniu schematów codzienności, krokach słyszanych na ulicy Zamenhofa i Łodzi Milicjantce z **dr. Włodzimierzem Karolem Pesselem**, kulturoznawcą i socjologiem kultury z Uniwersytetu Warszawskiego, rozmawiają **Julia Krzesicka** i **Maria Wołkowicz**



FOT. JULIA KRZESICKA

Ma Pan swoje ulubione warszawskie mity?

To, co się często nazywa „mitami miejskimi”, z punktu widzenia naukowego lepiej byłoby nazywać „miejskimi legendami”. Mity są przecież opowieściami, które w kulturze tradycyjnej tworzyły antropologiczną infrastrukturę świata i były dla ich użytkowników jedyną rzeczywistością. A my teoretycznie myślimy racjonalnie, ale jednak takich szczelin niesamowitości potrzebujemy. I właśnie słowo „legenda” oznacza, że coś jest prawdopodobne i nieprawdopodobne zarazem – tak jak opowieści o Bazyliuszku czy o złotej kaczce, które mieszczą się w jakiejś lokalności, ale zarazem przekraczają granice prawdopodobieństwa.

Jako naukowiec musi pan trzymać emocje na wodzy. Ale może którąś legendę lubi pan szczególnie?

Jeśli miałbym wskazać legendy miejskie, które darzę sympatią, byłyby to te rzeczywiście nasycone treściami warszawskimi, wyłamujące się z uniwersalnego schematu, równie dobrze pasującego do innego miasta, np. w Stanach Zjednoczonych. Jest taka legenda o krokach słyszanych na ulicy Zamenhofa. Tamtędy, w czasie Powstania Warszawskiego, kanałami wędrowali powstańcy. Teraz mieści się tam jeden z akademików, a kroki, które podobno słychać w dolnych kondygnacjach tego budynku – właśnie to „podobno” jest wyznacznikiem legendy miejskiej – tłumaczy się tym,

że były stawiane przez powstańców, a teraz już przez ich duchy, które tymi kanałami krążą. Jest też taka legenda miejska o windzie, która się urwała w Hotelu Bristol. W jednej z wersji jechała nią Hanna Banaszak, która cudem przeżyła wypadek. Miała to być tzw. winda kryształowa – duża, z żelazną balustradą i mosiężnymi zdobieniami. Ponieważ zdemontowano ją w 1969 r., a Hanna Banaszak urodziła się w 1957 r. (więc nie była wtedy jeszcze znaną piosenkarką), w tej zabytkowej windzie wypadku mieć nie mogła. Co nie wyklucza przecież ziarna prawdy, jakiegoś innego wypadku w życiu artystki. Pojawianie się legendarnej hotelowej windy w ekspresjach miejskiej tożsamości stanowi narrację o ruderyzacji „starej Warszawy”, odsyłaniu do demobilu instrumentarium technologicznego przedwojennej stolicy.

Dlaczego ludzi nadal interesują miejskie legendy? Po prostu lubimy plotkować i słuchać niesamowitych historii?

Świat ludzki zawsze stanowił uporządkowaną całość, która rozpada się według pewnych osi, m.in. na to, co jest na powierzchni i na to, co jest w głębi. I to, co w głębi, zawsze było nieprawdopodobne, niesamowite, przerażające, groźne. Wydawałoby się, że takie elementy irracjonalne zostały z naszej rzeczywistości wyeliminowane, ale cały czas występuje na nie pewne zapotrzebowanie. Niesamowitość jest nam przydatna, bo w opozycji do niej możemy określić, co jest normalne, uporządkowane, ustabilizowane. Legenda miejska, jako gatunek kulturowy, powstała w wielkich metropoliach, przede wszystkim w Ameryce, czyli tam, gdzie brakowało wielowiekowej tradycji. Legendy mogą zastępować pewien repertuar treści kulturowych, których nie było lub które w wyniku zmian obyczajowych i cywilizacyjnych ulegają zapomnieniu.

Czy można opisać mechanizm powstawania takiej legendy?

Na pewno nie można wskazać jej autora, bo on po prostu nie istnieje.

Żywiłem takich legend jest między-ludzka komunikacja, dzięki której są nieustannie reprodukowane i powielane na zasadzie: *Czy słyszałaś/słyszalesz, że...?* Wiadomo, że gdyby zacząć pytać, czy ten znajomy, który nam to przekazuje, rzeczywiście był świadkiem tego, o czym mówi – okaże się, że nie. Dowiedział się o tym od innego znajomego, a ten znajomy jeszcze od kogoś innego. I właśnie w tym rzecz.

Dobrym środowiskiem dla legend miejskich stał się chyba internet?

Oczywiście. Istnieją całe strony i fora służące wymianie informacji na temat legend miejskich, które pełnią rolę współczesnych archiwów folklorystycznych czy etnograficznych – są zasobami danych. Ale też przy pomocy poczty elektronicznej można pewne legendy powielać. To, co kiedyś było przekazywane z ust do ust, dziś krąży w formie łańcuszków i ostrzeżeń e-mailowych. Sam byłem świadkiem tego, jak osoby generalnie trzeźwo myślące i mocno zakotwiczone w rzeczywistości, nabierały się na takie opowieści. Bo siłą legend jest to, że granica między prawdopodobieństwem a nieprawdopodobieństwem jest dosyć płynna. Dlatego szczególnie dobrze sprawdzają się w czasach niepokoju i stresu cywilizacyjnego, np. w okupowanej Warszawie krążyło wiele legend o tym, co – zgodnie z czyjąś przepowiednią – pewnego dnia przytrafi się Hitlerowi czy innemu notablowi nazistowskiemu.

Słyszał pan o Łodzi Milicjantce? To też legenda?

To jeszcze inne zjawisko. Każde miasto ma swoich dziwaków i szaleńców. Łodzia to postać prawdziwa – chora umysłowo kobieta, która w latach 80. stawała na skrzyżowaniu Al. Jerozolimskich i Marszałkowskiej i wymachiwała rękami, udając milicjanta dyrygującego ruchem. To już nie jest legenda miejska sama przez się, ale opowieść o kimś osadzonym w historii miasta. Jest to też element jego tożsamości. Drugą postacią, z którą legendy miejskie są niesłusznie kojarzone, jest Czarny Roman – jegomość w charak-

terystycznym kostiumie, kręcący się po Śródmieściu. Jak oszalał? Hipotezy są bardzo różne – podobno był bogatym cinkciarzem – handlował nielegalną walutą w PRL-u i dorobił się wielkich pieniędzy, a potem postradał zmysły. Albo zbankrutował. Inna wersja mówi, że miał gromadkę dzieci i żonę – zwariował, kiedy go opuściła. Sam Roman nie jest legendą – jest widzialny i odpowiada na tę samą potrzebę, co miejskie opowieści – potrzebę doświadczenia czegoś niesamowitego, co przesywa rutynę miejską i stara się zburzyć schematy codzienności.

A co z legendą o Pałacu Kultury, jego olbrzymich podziemiach i korytarzach łączących go z innymi budynkami?

Słyszałem też, że znajduje się pod nim cały podziemny pałac z basenami, saunami i apartamentami, w których wypoczywali kiedyś dygnitarze, po tym, jak schodzili z trybuny honorowej. Wokół PKiN-u osnute są różne opowieści – podobno w jego piwnicach przechowywane są trupy, przetrzymywani więźniowie, a z jego podziemi można dojść dosłownie wszędzie, dzięki sieci korytarzy zbudowanych w ramach pewnego systemu bezpieczeństwa.

Krąży też legenda, że pod Dworcem Centralnym jest drugi, tajemniczy dworzec – podziemna kondygnacja, miasto żłodzi i narkomanów...

Tego nie słyszałem. Ale warto pamiętać, że instalacje podziemne i wszelkie tunele bardzo mocno działają na wyobraźnię. Np. na przełomie XIX i XX wieku krążyły po całej Europie protokoły Mędrców Syjonu, z których wynikało, że infrastruktura podziemna ma być wykorzystana do wysadzenia całej cywilizacji w powietrze. Zobaczmy też, że w powieściach francuskich z końca XIX wieku, które przedstawiały miasto jako kłębowisko różnych postaci, wygnańcy i spiskowcy skrywali się w piwnicach albo tunelach. Bo zawsze jakaś wyrotowatość kryje się pod powierzchnią miasta. I spod powierzchni miasta te legendy wytryskują.

Kultowe smaki Warszawy

Masz ochotę na obiad? A może coś na deser? Wybierz leniwe, rurki z kremem i filizankę czekolady. Te najlepsze znajdziesz w lokalach, które słyną ze swoich specjałów od lat



• Marta Chmielewska

Warszawa to miasto pełne sieciowych knajp, identycznych i mdłych – skarży się wielu mieszkańców stolicy. Ty też narzekasz, że kiedy chcesz coś przekąsić, musisz wybierać pomiędzy McDonald's, Coffee Heaven i drogimi lokalami, w których spędza się wieczność w oczekiwaniu na kelnera? Poświęć trochę czasu warszawskiej gastronomii, a odkryjesz miejsca z długoletnią tradycją i niepowtarzalnym klimatem.

WIELKI POWRÓT BAJKI

Lokal, bez którego wielu mieszkańców nie wyobraża sobie Nowego Świata, pojawił się tu w 1956 r., a jego kierowniczką od 1984 r. jest Jadwiga Myrcha. Gdy w zeszłym roku Bajka została zamknięta ze względu na ogromną podwyżkę czynszu, jej miejsce zajął nowoczesny cocktail bar, który po kilkunastu miesiącach zbankrutował. Na szczęście pani Jadwiga doszła do poro-

zumienia z właścicielem kamienicy i 21 kwietnia Bajka wróciła na Nowy Świat. – *Niewiele się zmieniło* – zapewnia pan Andrzej, pierwszy kierownik sali, który zawsze pilnuje, by w kawiarni był spokój i porządek. – *Tyle, że kiedyś na ścianach były takie fale z przyczepionymi lustrami, no a teraz jest bardziej nowoczesnie* – dodaje z za baru jego siostra, parząc w nowym ekspresie pyszne cappuccino. I rzeczywiście, po remoncie wystrój jest inny niż za czasów PRL-u. – *Ale ludzie nadal ci sami. Pani przyjdzie wieczorem, to pani zobaczy, przychodzą, żeby posiedzieć, pogadać, napić się* – opowiada pan Andrzej. I dodaje, że po zamknięciu Bajki, smutni klienci odwiedzali okoliczne knajpy i kawiarnie, ale kiedy tylko z powrotem została otwarta, chętnie wrócili do ulubionego lokalu.

NAJLEPSZY BAR W MIEŚCIE

Prasowy ulokował się na Marszałkowskiej 10/16 kilkadziesiąt lat temu i do dziś jest uważany przez koneserów

gatunku za najlepszy bar mleczny w Warszawie. W Prasowym czas się zatrzymał: ściany pokryte wypolerowanymi, odbijającymi światło czarnymi płytami, na stołach krzaczaste ceratowe obrusy, a na nich grube szkło. Pani wychylająca się z kuchennego okienka polewa kluski śmietaną, posypuje łyżką cukru i woła: – *Leniwe raz!* Szeroki jadłospis oferuje pyzy z mięsem i słoniną (7,60 zł), makaron ze śmietaną i z cukrem (1,90 zł), ryż z jabłkami, śmietaną i cukrem (1,89 zł), leniwe (4,10 zł) a do tego kompot (1,70 zł), budyn z dżemem (1,27 zł) czy kisiel ze śmietaną (0,67 zł). W lokalu można spotkać klientów, którzy przychodzą tu od 20 lat i młodych ludzi, którzy niedawno dowiedzieli się o tym miejscu i od razu je polubili. Wydaje się, że Prasowy jest barem wielopokoleniowym. W porze obiadowej ciężko tu znaleźć wolny stolik. – *Przychodzimy tu czasem po lekcjach, gdy jesteśmy głodni, a nie chcemy iść do McDonald's. Tu możemy spokojnie posiedzieć,*

pogadać, a przy okazji zjeść niedrogi obiad, który smakuje jak domowy – mówi Marta, siedemnastoletnia uczennica pobliskiego liceum. – *Przyprowadził nas tu kiedyś tata, mówi, że bar przypomina mu dawne czasy. I teraz czasem przychodzimy tu z bratem* – wyjaśnia jedenastoletnia dziewczynka stojąca w kolejce.

PO RURKI NA WIATRAK

Z pozoru niezbyt zachęcająca budka stojąca przy rondzie Wiatraczna na Grochowie, kryje w sobie słodką tajemnicę – najlepsze w całej Warszawie rurki z bitą śmietaną. Ta niewielka cukiernia powstała w 1948 r., kiedyś serwowała tylko sławne rurki, a niedawno wprowadziła również lody i gofry. – *Recepturę opracował ponad 50 lat temu mój wujek, więc przepis jest w naszej rodzinie od pokoleń* – mówi sprzedawczyni, napełniając chrupiący wafelek puszystą śmietaną. Niektórzy warszawiaczy przeczytali o kultowej budce z rurkami na forach

internetowych, innych przyprowadziła tu kiedyś babcia, dzieląc się z nimi smakiem swojego dzieciństwa. Jak mówi pani pracująca na co dzień w tej cukierni, rozpiętość wiekowa klientów jest bardzo duża. Lokal prawie nigdy nie jest pusty, co i rusz ktoś tam zagląda. Jednak największy ruch jest po południu, kiedy opiekunowie odbierają dzieci z przedszkoli i w niedzielę, kiedy ludzie po wyjściu z mszy, zatrzymują się tam na coś słodkiego. Jeśli więc mamy dość fastfoodów, sieciowych kawiarni i modnych restauracji, zapijemy się w najdalsze zakątki Warszawy, zaryzykujemy i wejźmy do nieznannej kawiarni, nawet gdy z zewnątrz nie kusi nas swoim urokiem. Może się okazać, że ma wieloletnią tradycję, niepowtarzalny klimat i kryje w sobie pyszną tajemnicę.

Tradycja musi trwać

– *Jeśli ktoś chce przestrzegać zasad, zawsze da sobie radę* – mówią młodzi mieszkańcy stolicy, którzy mają żydowskie korzenie i żyją zgodnie z regułami judaizmu

Jeśli Żydzi chcą kupić żywność, to muszą wybrać taką z hologramem poświadczającym, że jest koszerna. – *Ludzie przestrzegają wielu różnych diet, są weganami, wegetarianami. Podobnie jest z jedzeniem koszernym. Jeśli coś jest dla Ciebie ważne, to nie ma takich przeszkód, których byś nie pokonał* – twierdzi Paweł, ortodoksyjny Żyd, który z Warszawy wyjechał do Nowego Jorku.

KROPKI NA MAPIE MIASTA

By stworzyć kawałek normalnego żydowskiego świata dostępnego dla wszystkich Malka Kafka otworzyła przy ul. Poznańskiej 11 kawiarnię Tel-Aviv. To jedno z nielicznych miejsc na kulinarnej mapie Warszawy, gdzie można zjeść koszernie. Właścicielka planuje wkrótce otworzyć także sklep z koszernymi wiktuałami. To oczywiście może być kolejnym ułatwieniem dla tych, dla których wyznaczone przez religię reguły życia są bardzo ważne. – *Zasady religijne, nie są utrudnieniem. Można je bardzo łatwo pogodzić z normalnym życiem* – mówi Paweł. Według niego społeczność żydowska w Warszawie jest tak nieliczna, m.in. ze względu na brak odpowiedniej infrastruktury. Funkcjonuje tu tylko jedno przedszkole, podstawówka i gimnazjum, które chcą kultywować tradycję żydowską. – *W Zespole Szkół Lauder–Morasha Żydów jest jak na lekarstwo* – stwierdza Hela, która jest na trzecim roku interdyscyplinarnego Instytutu Artes Librales, a wcześniej

chodziła do Lauder–Morasha. Rodzice muszą jedynie zaakceptować żydowski charakter szkoły, by młodzi goje (czyli nie-Żydzi) mogli się w niej uczyć. Emilia, studentka dziennikarstwa na UW, która także skończyła tę szkołę, twierdzi, że nauczyła się tam tolerancji, otwartości oraz miała możliwość poznania kultury żydowskiej.

PROCES WIELOLETNI

Grona polskich Żydów nie powiększają także konwertyci, czyli osoby chcące przejść na judaizm. Proces przygotowawczy pod okiem rabina trwa często wiele lat. – *To bardzo ciężka praca* – stwierdza Emilia, która zna kilka osób starających się sprostać temu wyzwaniu. – *Konwertyta musi chcieć przejść na judaizm tylko dlatego, że wierzył w Boga i chce wypełniać jego 613 przykazań* – dodaje Paweł, którego żona jest Żydówką. – *Bóg jest najważniejszy i wszystko jest mu podporządkowane* – stwierdza.

TO MOJE ZADANIE

Zdaniem Malki Kafki hermetyczność żydowskiej społeczności wynika z tego, że jej członkowie prowadzą życie zupełnie odmienne od Polaków. Wyznawcy judaizmu muszą przestrzegać szabatu i obchodzić wiele świąt trwających często kilka dni. Mało który pracodawca jest na tyle elastyczny, by to umożliwić, więc praktykujący Żydzi często pracują w żydowskich instytucjach, gdzie tradycje religijne są na porządku dziennym. Paweł podkreśla

zresztą zalety takiej sytuacji: – *Żydzi chcą być razem i pomagać sobie w sytuacjach zagrożenia. Dodatkowo z punktu widzenia judaizmu, Żydzi powinni żyć razem, aby móc kultywować swoją religię i zwyczaje. Potrzebę ciągłości tradycji odczuwa także Hela, której młodsza siostra kończy żydowską podstawówkę. Hela twierdzi, że choć młodzi ludzie czują potrzebę kontaktu z żydowskimi tradycjami, to często kończy się ona z ostatnim dzwonkiem w szkole Lauder–Morasha. Ale mimo wszystkich przeszkód, młodzi wyznawcy judaizmu, chcą, by ich religia trwała. – *Tradycja żydowska, będąca tradycją moich przodków, musi trwać. A dbanie o nią jest zadaniem moim i moich przyszychych dzieci* – puentuje Klaudia, należąca do gminy żydowskiej studentka etnologii i kulturoznawstwa na UW.*

• Patrycja Korytkowska



Malka Kafka w kawiarni Tel-Aviv

USŁYSZMY ICH!

Patrząc na murale i graffiti, zastanówmy się, kto za tym stoi. I na co chce zwrócić naszą uwagę, decydując się na taką formę wyrazu

Spacerując po Warszawie, zerknijcie na murek otaczający plac przed wejściem do Metra Centrum, zwany potocznie „patelnią”, rozglądajcie się uważnie, przemierzając Powiśle albo Wolę. Wszędzie tam, na murach, zobaczycie można to, co powstaje, gdy młodzi mają ochotę na jakąś inicjatywę i talent, by ubrać ją w atrakcyjną formę. I choć nie każde graffiti jest dziełem sztuki, to przecież ich autorzy nie mają zamiaru oszpecać miasta. Owszem, kierują nimi silne emocje, ale tylko dlatego, że chcą nam coś powiedzieć i chcą być wysłuchani. Dajmy im szansę.

WYRAZIĆ SIEBIE

Dla Ani, mieszkanki Bemowa, graffiti jest pasją. – *Malowanie pozwala mi pokazać innym swoje emocje* – wyjaśnia. Jej specjalnością są scenki z życia codziennego, które zwracają uwagę na to, że ślepo gonimy za czymś, co wydaje nam się wartościowe. Pozwalają zauważyć, jak bardzo kierują nami nawyki i nasze własne wady, z których często nie zdajemy sobie sprawy. Możemy uznać, że to

banalne spostrzeżenia, bo każdy z nas rozmyślał na takie tematy już nie raz. Ale kiedy gdzieś na ulicy widzimy jej graffiti, po pewnym czasie mamy chęć ponownie zmierzyć się ze swoimi refleksjami.

OCZY SZEROKO OTWARTE

Według Marka, żoliborzanina, graffiti to nie tylko szansa na pokazanie wrażliwości, wyobraźni, kreatywności i talentu twórców. – *Bywa też sposobem na to, by otworzyć ludziom oczy, bo często nie chcą zobaczyć, jak naprawdę wygląda rzeczywistość. Daje szansę, by zauważyli, że idąc jeden za drugim, niekoniecznie idą w dobrym kierunku* – wyjaśnia. Marek sztuką uliczną zainteresował się ponad cztery lata temu i dziś jego ulubioną formą są szablony. Podobnie jak on, swoje umiejętności i technikę szlifuje Kasia, mieszkanka Białołęki. Najpierw jej pasją był po prostu rysunek i musiało upłynąć trochę czasu, by swoje prace zaczęła pokazywać w przestrzeni publicznej. – *Chciałabym zwrócić uwagę innych na to, jak piękny jest w gruncie rzeczy świat* – wyjaśnia. Nie ucieka jednak także od trudnych tematów, które nieustannie pojawiają się wokół nas. Jeśli więc sztuka malowania na miejskich murach jest dla tworzących ją młodych artystów przede wszystkim sposobem wyrażania siebie i jeśli chcą oni skłonić nas do refleksji nad problemami, przed którymi na co dzień uciekamy – przyjrzyjmy się miejskim graffiti uważnie.

• Katarzyna Urbańska

GRAMY co w nas siedzi

Jak na warszawskiej scenie muzycznej trafić na projekty wyróżniające się z tłumu, oryginalne i pomysłowe?

Chodziliśmy do tego samego liceum i jakoś tak wyszło, że zaczęliśmy się spotykać i grać – ja na gitarze, a Christoph na bębnach – wspomina Szymon Nader, wokalista i gitarzysta Eric Shoves Them In His Pockets. Z czasem Christoph Tuhn zaczął grać na perkusji, a do zespołu dołączył Hubert Woźniakowski, jego cioteczny brat. Właśnie oni są doskonałym przykładem na to, że z czystej przyjemności tworzenia muzyki może narodzić się całkiem dobry zespół. – *Gramy co w nas siedzi* – mówi Szymon. I choć niektórzy będą porównywać ESTIHP do takich alternatywnych zespołów jak Modest Mouse czy Pavement, ich muzyka ma w sobie to coś, co sprawia, że jest jedyna w swoim rodzaju. A na dodatek chłopaki nie próbują na siłę dopasować się do trendów panujących aktualnie na scenie muzycznej i dają sobie dużo luzu. – *Priorytetem jest, by nasza muzyka podobała się nam samym i naszym znajomym* – deklarują. A że to dobra droga, można się przekonać, patrząc, jak na ich koncertach publiczność szaleje pod sceną. Warszawska grupa Setting the Woods on Fire emanuje energią i gra bardzo głośno. – *Dla nas najważniejsze jest to, żeby na scenie był ogień. Do tego resztą zobowiązuje nasza nazwa* – tłumaczy Karol Koszniec, perkusista. Mocna gitarowa muzyka zespołu nie jest jednak w najmniejszym stopniu pozbawiona wewnętrznego ładu, a jej dodatkowym atutem jest to, że świetnie stawia na nogi. Być może ogień i autentyzm biorą się z ich recepty na sukces, która zawiera się w słowach: – *Wszyscy chcemy tego samego i jesteśmy w stu procentach zaangażowani*. W zeszłym roku wydali nawet debiutancki album w hiszpańskiej wytwórni „Promise!Promise!”.

Uwagę tych, których pociągają bardziej elektroniczne dźwięki, przykuje zapewne formacja Games People Play. To świeży duet, w którym Zupa śpiewa i gra na klawiszach, a Piter na gitarze elektrycznej. Przyznają, że musieli przebyć wiele dróg, nim odnaleźli w muzyce to, czego szukali. – *Musieliśmy dojrzeć, by w końcu zrobić coś porządnego* – dodaje Piter. Ciekawa jest też sama nazwa zespołu, która pochodzi od tytułu książki „W co grają ludzie” (w oryginale „Games People Play”) autorstwa amerykańskiego psychiatry, Erica Berne. Zaproponowała ją Zupa, zaintrygowana tym, jak zmienia się nasze zachowanie w zależności od efektu, który chcemy osiągnąć. Odwołując się do gier rządzących stosunkami międzyludzkimi, podkreśla smutną prawdę o naszej naturze. Swoją debiutancki występ na festiwalu SOFA w warszawskim liceum im. St. I. Witkiewicza duet ma już za sobą, a kolejny – jest już w planach. – *Czekam na więcej* – pisze użytkownik madlen na profilu myspace Games People Play. I może właśnie te słowa chodzą po głowie wszystkim entuzjastom projektów muzycznych, które z impetem podbijają młodą, warszawską scenę muzyczną. Czekamy na więcej!

• **Katarzyna Bużańska**

BŁYSKAWICZNY TŁUM

Ludzie zaczynają zachwycać się doskonałością bułek z serem, podnoszą do góry łyżki albo składają pokłony pluszowemu dinozaurowi? Nie, nikt nie zwariował. To tylko flash mob

• **Maria Wołkowicz**

Niedziela. Plac Zamkowy. Godzina 17.59. Tłum pędzących ludzi – młodszych, starszych, zakochanych, rodzin z dziećmi, turystów. Zegar wybija osiemnastą. I nagle część osób zamiera. Zastygają w różnych pozach – w trakcie robienia zdjęć, rozmowy, podnoszenia papierka z chodnika. Co się dzieje? Czy to jakaś nagła choroba? Atak kosmitów? Zdziwieni przechodnie przystają, rozglądają się niepewnie dookoła i szukają rozwiązania zagadki. – *Mamo, mamo! Czas się zatrzyma!* – woła jakieś dziecko. Mija 5 minut i znów, jakby nic się nie stało, wszyscy zaczynają się poruszać. Dziewczyna zmienia pozę i uśmiecha się do obiektywu aparatu fotograficznego, ktoś wreszcie podnosi papierek, który mu upadł. Świadkowie całego zajścia zaczynają klaskać. Co się tak właściwie przed chwilą wydarzyło? Czy to było zakrzywienie czasoprzestrzeni? Akcja promocyjna jakiegoś produktu? Projekt artystyczny? Nie, to flash mob.

ZAMROŻENI

Flash mob, czyli w dosłownym tłumaczeniu „błyskawiczny tłum”, to akcja, w której biorą udział nieznaną wcześniej osoby. Im jest ich więcej, tym lepszy efekt. Za pośrednictwem internetu lub SMS-owo otrzymują informacje o terminie i miejscu spotkania oraz o tym, co mają tam zrobić. Niespodziewanie dla innych gromadzą się na wybranej ulicy, w centrum handlowym czy parku i swoim niekonwencjonalnym zachowaniem zaskakują przypadkowych świadków. Uczestników obowiązują jednak pewne zasady. Przede wszystkim flash mob nie może nikogo obrażać, naruszać prywatności przechodniów i trwać za długo. Biorący



Flash mob na Placu Zamkowym

w nim udział powinni pozostać niezauważeni, aż do momentu rozpoczęcia się akcji. Nie mogą zbierać się w grupki, patrzeć nerwowo na zegarki, a po całym zdarzeniu muszą szybko zniknąć. Flash mob, który polega na tym, że tłum nagle zamiera, ma już nawet swoją nazwę – to freeze, od angielskiego „zamrazać”.

POKŁONY DLA DINOZAURA

Pomysł na flash moby narodził się w Nowym Jorku. Na początku 2003 r. grupa ludzi zebrała się w sklepie Macy's i pytała sprzedawców o „dywanik miłości dla komuny”. Kolejne akcje były coraz bardziej szalone, np. oddawano pokłony wielkiemu pluszowemu dinozaurowi w sklepie z zabawkami na Times Square, klaskano wewnątrz ekskluzywnego hotelu, obserwowano fikcyjne przedstawienie. Flash moby bardzo szybko rozprzestrzeniły się po całym świecie i dotarły także do Polski. W naszym kraju działa wiele grup, które

zajmują się ich organizowaniem, ale tak naprawdę taką akcją może przygotować każdy. Tę na Placu Zamkowym zainicjowali studenci z Uniwersytetu Warszawskiego.

– *Na pewno weźmiemy udział w kolejnym flash mobie* – deklarują Sonia, Aneta i Dominika, którym spodobało się stanie bez ruchu w centrum miasta. Zaproszenie dostały przez internet, na popularnym portalu społecznościowym, razem z filmikiem pokazującym przebieg podobnej akcji.

ZASKOCZENI

– *Ale po co to wszystko?* – pytają malkontenci. Cel jest jeden – zabawa! Znający przyczynę całego zajścia, mają dużo radości, widząc zdezorientowanych świadków wydarzenia, a gapie mogą podziwiać inwencję i wyobraźnię uczestników akcji. Warszawska Grupa FlashMobowa na swojej stronie internetowej tłumaczy, że flash mob to sposób

na dodanie odrobiny radości i abstrakcyjności szarym ulicom. Warszawski Front Abstrakcyjny cel swojego działania określił słowami: „Rozjaśnijmy szarość dnia!”. Obydwie grupy nie zgadzają się na wywiady i unikają kontaktów z mediami, tłumacząc na swoich stronach, że flash mob ma zaskakiwać przypadkowych ludzi. Jego siła leży w wywołaniu zdumienia u osób nieświadomych istnienia takiego zjawiska, a media, informując czym jest flash mob, psują całą zabawę. Flash moby stały się inspiracją dla akcji takich jak Free Hugs czyli „Darmowe przytulanie” (uczestnicy oferują nieznanym w miejscach publicznych darmowe uściski) czy Zombie Walk – taki marsz żywych trupów odbył się w tym roku w Warszawie już po raz czwarty. Wciąż nie wiecie co o tym sądzić? Najlepiej podsumowała wszystko Pokrzywa, zapytana na forum internetowym dlaczego chodzi na flash moby: – *Bo lubię. O!*

FOT. JULIA KRZESICKA

Poszukiwacze skarbów

Przemierzają miasto, by znaleźć wreszcie książkę, na którą polują od lat. Idźmy ich śladami, a odkryjemy fascynujący świat antykwariatów

Świat bez książek byłby nudny – twierdzą ci, którzy poznali magiczną atmosferę antykwariatów, gdzie można znaleźć prawdziwe rarytasy bibliograficzne oraz kupić i sprzedać stare książki. W dobie internetu i wszechobecnych e-booków, które zagrażają nawet modnym bestsellerom, trudno jest uwierzyć, że bez innowacji antykwariaty mają szansę przetrwać. Ale wystarczy wyprawa bibliofilskim szlakiem, by się przekonać, że mają stałe grono klientów.

Z INICJATYWĄ

Szczególnie wiele antykwariatów ulokowało się w Śródmieściu. Ich właściciele wykazują wiele inicjatyw, by zdobyć nowych klientów – większość prowadzi sklepy internetowe,

bierze udział w aukcjach, tworzy filie w różnych punktach Warszawy. Reklamują się na imprezach związanych z czytelnictwem – choćby na corocznym kiermaszu na Rynku Mariensztackim.

KLASYCZNIE I Z UROKIEM

Ci, którzy mają chęć natychmiast zacząć lekturę upolowanej właśnie książki, dobrze poczuć się w antykwariacie Mesita przy ul. Siennej 93, gdzie w kawiarnianej atmosferze i przy dobrej herbacie można spędzać długie godziny. Warto też zajrzeć pod numer 16 w Alejach Jerozolimskich – tam znajdziemy antykwariaty Logos i Kosmos. Ten ostatni specjalizuje się w mapach, rycinach oraz starych czasopiśmie. – *Są tacy, którzy w naszych zbiorach szukają prezentów dla krewnych i*

przyjaciół. Ale często ludzie przychodzą też do nas jak do galerii, nic nie kupując – przyznaje Adam Jakimiak, właściciel antykwariatu. Jeśli się tam wybierzemy, mamy szansę zapomnieć na chwilę o warszawskim zgiełku i przenieść się w świat dwudziestolecia międzywojennego. Miłośników starych książek urzeknie też atmosfera kiermaszów, w czasie których antykwariusze zamieniają się w prawdziwych bukinistów. – *Na takich straganach wszechobecna jest magia starej książki. To właśnie dzięki takim akcjom wielu przypadkowych przechodniów może odkryć czar antykwariatów* – uważają antykwariusze z Kwadrygi, która mieści się w lok. 25 przy ul. Wilczej 29a. Oczywiście niektóre antykwariaty mają wielu stałych klientów, choćby

ze względu na swoją lokalizację – np. Atticus wyjątkowo często odwiedzają studenci i pracownicy Uniwersytetu Warszawskiego, a w weekendy trafiają tu spacerowicze i turyści szukający starych zdjęć i książek o Warszawie. Filia Atticusa ukryta w piwnicy budynku na Krakowskim Przedmieściu 20/22 spodoba się tym, którzy cenią sobie klasyczne antykwariaty. Polubią płynącą z głośników starą muzykę, oryginalny wystrój wnętrza i zapach starych książek. I choć zdaje się pewnie, że nikt nie będzie podróżował sekretnymi przejściami, jak bohater książki „Cień Wiatru” Carlosa Ruiza Zafona, to może dzięki wizycie w jednym z warszawskich antykwariatów, uda się ocalić od zapomnienia kilka książek.

• **Natalia Tobiasz**

Praga kulturą podszyta

Okolice praskiego „trójkąta bermudzkiego”, uznawane kiedyś za najniebezpieczniejsze miejsce w Warszawie, zmieniają swoje oblicze. Stają się modne i przyciągają na prawą stronę Wisły tych, którzy chcą sprawdzić, ile prawdy tkwi w stereotypach

• **Maria Dybcio**

Przystanek Inżynierska. Otaczają mnie otulone nocą obskurne kamienice. Jedyne światło zapewniają tła się na żółto latarnie. Scenografia niczym z drugorzędneho horroru. Po głowie kołocze mi się zdanie: – *Przecież mogłaś się tego spodziewać, w końcu jesteś na Pradze.* Stereotyp każe mi stamtąd uciekać, rozum mówi: – *Musisz sama sprawdzić, zanim ocenisz.* Ruszam więc przed siebie ul. 11 Listopada. Kilku modnie ubranych nastolatków postanowiło właśnie tu obalić szampa. Nie wyglądają na specjalnie przestraszonych, a okoliczni mieszkańcy nie są zaskoczeni ich obecnością. Chyba już do siebie przywykli. Idąc za smugą światła padającą na ulicę, trafiam na podwórko przy ul. 11 Listopada 22, które wieczorami zamienia się w jeden z największych ośrodków kulturalnych na Pradze.

TRUDNA SZTUKA

Ściany budynków pokrywają kolorowe obrazy i dziesiątki napisów. Otwarte

drzwi jednej z kamienic, kręte, wąskie schody, prowadzą do Teatru Academia. To pierwszy powstały na Pradze ośrodek promujący sztukę z najwyższej półki. Nazywaną przez dyrektora teatru, Romana Woźniaka „trudną sztuką”. – *Dziesięć lat temu niebezpiecznie było rozmawiać za głośno przez komórkę na ulicy, ponieważ zniknęła błyskawicznie. Teraz wszyscy przez nie rozmawiają i to dosyć głośno. Zachowują się czasem prowokacyjnie. Wcześniej, co zrozumiałe, budziłyby to agresję prażan. W końcu ktoś wkroczył na ich terytorium* – wyjaśnia Roman Woźniak.

KLUBOWE ZAGŁĘBIE

Dźwięki muzyki prowadzą mnie do klubu Hydrozagadka. Trwają właśnie przygotowania do koncertu zespołu Pogodno, wchodzę niezauważona do niewielkiej ciemnej sali. Życie skupia się wokół oświetlonej sceny i baru, przy którym tłoczy się większość gości. Wybieram kanapę i słucham historii powstania Hydrozagadki. Założył ją znajomy właściciel klubu Saturator, który znajduje się naprzeciwko. Bywał tam na imprezach, a kiedy dowiedział

się, że obok jest wolny lokal, postanowił zaryzykować – porzucił pracę w banku i otworzył swój własny klub. Hydrozagadka szybko wyrobiła sobie dobrą markę. Dwa kroki od niej ulokował się klimatyczny Skład Butelek. Lokal powstał 5 lat temu z inicjatywy sióstr bliźniaczek – Magdy Błaszczak i Olgi Szaltis. Magda przyznaje, że pierwsze kontakty z Pragą zawdzięcza m.in. Romanowi Woźniakowi, który organizował tu coroczny cykl imprez „Sąsiedzi dla sąsiadów”. – *Praga była i do dzisiaj jest postrzegana, jako miejsce, gdzie mogą cię okraść i pobić. My staramy się zmieniać ten stereotyp* – opowiada Magda. – *Ludzie odwadniają i częściej przychodzą na Pragę i to jest duży plus. Ale to, jak było „kiedyś”, wywołuje łezkę w oku* – dodaje Magda, wspominając aurę niesamowitości związaną z dawnymi wyprawami na prawy brzeg Wisły.

PO SĄSIEDZKU

Im jestem bliżej Szwedzkiej, tym bardziej przyspieszam kroku, bo tu czas jakby się zatrzymał. Ten niezwykły klimat po zmroku trochę mnie przerasta.

Trafiam na Wileńską. Mijam okolicznych mieszkańców – są pochłonięci rozmowami lub oczekiwaniem na swoją kolejkę pod monopolowym. Dochodzę do kawiarni Sens Nonsensu pod numerem 23. Otaczają mnie setki bibelotów, lampy dają przytłumione światło. I kiedy myślę, że kawiarnia jest oazą spokoju, do lokalu wkracza mężczyzna spod monopolowego. – *Od początku założyliśmy, że będzie to miejsce otwarte na wszyst-*

kich – mówi Rokszana Pietruczanis, właścicielka kawiarni. I dodaje: – *Jest jakaś prawda w tym praskim stereotypie, ale myślę, że nie należy skreślać ludzi na wstępie, bo świat przestanie być kolorowy i różnorodny.*

Przed klubem Winowajca barwny tłum młodych ludzi. Z nimi czuję się bezpiecznie. Na Pradze tajemniczej, nieodkrytej, wciąż nieznaną. Na Pradze, na której najszybciej bije moje serce.



Magda Błaszczak na podwórku przy ul. 11 Listopada 22

FOT. MARIA DYBCIO

Gdzie chcą mieszkać warszawiacy?

Z badań przeprowadzonych w tym roku przez agencję nieruchomości Metrohouse wynika, że w rankingu najmniej lubianych dzielnic Warszawy wygrywa Białołęka (57 proc. szukających mieszkania nie chciałoby się tam przeprowadzić), tuż za nią jest Ursus (52 proc.) i Praga Północ (50 proc.). Nasz największy sentyment budzą Ochota, Mokotów i Żoliborz – to te dzielnice niezmiennie są obiektem westchnień warszawiaków przymierzających się do kupna mieszkania. Ale gdy muszą się zmierzyć z ceną za metr kwadratowy w wymarzonej lokalizacji, zaczynają dopuszczać do siebie myśl, że mogliby zamieszkać zupełnie gdzie indziej.

PRAGA SIĘ ZMIENIA

Choć nadal większość warszawiaków kojarzy prawą część miasta z wyższą przestępczością, przemocą i tłumem Wietnamczyków, grono miłośników Pragi wciąż rośnie. Na pewno ma na to wpływ powstanie tu pracowni artystycznych, takich jak przy ul. Lubelskiej, które zmieniają wizerunek dzielnicy. – *Uwielbiam Pragę, bo ma klimat starego Krakowa, są tu kultowe miejsca i trochę inna, jakby przedwojenna rzeczywistość* – opowiada Justyna Markowska, studentka ASP, mieszkanka i miłośniczka Pragi. I dodaje: – *Mam sentyment do offowego teatru Wytwórnia, w którym pracowałam. Poza tym grają tam świetne spektakle! Jeśli mam wolny*

czas, odwiedzam też ze znajomymi zagłębienie klubowe przy ul. 11 Listopada. Do ulubionych miejsc tych, którzy pokonali już praskie uprzedzenia, należą lokale skupione przy ul. Żąbkowskiej – Galeria Klimy Bocheńskiej oraz klimatyczne knajpki: Łysy Pingwin i W Oparach Absurdu. – *I do tego te stare kamienice i ich elewacje, które są znakiem rozpoznawczym tej intrygującej dzielnicy* – dorzuca Justyna.

ZIELONE BEMOWO

Choć nie znajduje się na liście mieszkaniowych marzeń, ostatnio jest chętnie wybierane przez osoby, które mają dość atmosfery dużego miasta i chętnie uciekłyby od spalin i śródmiejskich korków. Mieszkańcy Bemowa z sentymentem patrzą na osiedle kolorowych domków, które zostały postawione dla radzieckich budowniczych Pałacu Kultury i Nauki, a potem zmieniły się w nietypowe akademiki. Dziś to dawne Osiedle Przyjaźń jest nazywane po prostu Osiedlem Studenckim. Jego mieszkańcy nie zgadzają się z opinią, że Bemowo jest tylko sypialnią Warszawy. – *Lubię tę dzielnicę za spokój i harmonię. W porównaniu do innych miejsc, jest tu naprawdę cicho, a przy tym bardzo wesoło i ciekawie! W naszym akademiku spotkać można studentów z całego świata, są ludzie z Pakistanu, a nawet z Chin!* – opowiada Natalia Kozarska, mieszkanka

jednego z kolorowych domków. Jej zdaniem na Bemowie jest fajna atmosfera i naprawdę dużo się dzieje. – *Często odbywają się świetne koncerty na bemowskim lotnisku, ale też w amfiteatrze* – dodaje. Innym miejscem dobrze znanym fanom dobrej muzyki jest Klub Progresja, który także ulokował się w tej części miasta. I choć daleko stąd do centrum, mieszkańcy tej części Warszawy widzą wiele powodów, by tu pozostać. Mają dwa duże centra handlowe i kina, a w wielu bemowskich szkołach działają otwarte boiska, gdzie każdy może przyjść i pouprawiać sport. Brzmi nieźle? – *Oczywiście każda dzielnica ma swoje wady i zalety* – rzeczowo pointuje Ela Kiepas, mieszkanka Mokotowa, jednej z najbardziej lubianych warszawskich dzielnic.

• **Olga Rusinek**



Osiedle studenckie na Bemowie

FOT. OLGA RUSINEK

FELIETON

Przepraszam, czy tu straszysz?

Uwierz w ducha (w Warszawie)

Na Żoliborzu zapada zmrok, ale okna przedwojennego segmentu przy ul. Podstarościch jak zwykle pozostają ciemne. I to od wielu lat. Legenda głosi, że niemal pół wieku temu między remontującymi dom robotnikami doszło do kłótni, a potem jeden z nich zamordował drugiego. Od tego czasu kolejnych lokatorów wyganiały stąd dziwne odgłosy. Podobnie jest na Mokotowie – może słyszeliście o stojącej przy parku Morskie Oko willi Arpada Chowańczaka, przedwojennego króla futer? Wybuchł w niej pożar, podejrzewano podpalenie, a przy okazji wyszło na jaw, że w willi straszysz. Mówiono, że ostatni lokatorzy wyprowadzili się z powodu duchów. Przypominano, że podczas Powstania Warszawskiego zastrzelono tu kobietę zbierającą kwiaty w ogrodzie – to jej duch miał zakłócać spokój mieszkańców. Dziś wciąż okazała willa stoi pusta. Czasem tylko ma nielegalnych gości. Kolejny „dom, w którym straszysz” stoi przy ul. Szeligowskiej. Ponoć ponad dekadę temu mężczyzna zabił tam całą swoją rodzinę, a sam popełnił samobójstwo. Sąsiedzi widzą, jak w domu, w środku nocy zapala się i gaśnie światło, a kolejni lokatorzy szybko rezygnują

z mieszkania w tym miejscu. Kolejny mroczny zakątek miasta to zabytkowy sierociniec nieopodal elektrociepłowni Kawęczyn, z którego przed laty duchy rzekomo wygoniły pensjonariuszy Monaru. Dziś budynek popada w ruinę. Przed wojną krążyły też opowieści o pewnym mieszkaniu przy ul. Wilczej. Podobno dla śmiałka, który wytrzymał całą noc szykowano nawet skrzynkę szampa. Czy to znaczy, że w Warszawie są miejsca, gdzie straszysz? – *Winę za tajemnicze odgłosy w starych domach mogą ponosić materiały wykorzystywane do ich budowy i specyficzna konstrukcja* – mówi Max Suski, dziennikarz i miłośnik Żoliborza. I przytacza historię swojej znajomej, która nim odkryła nietypowe właściwości akustyczne swojego mieszkania, była gotowa wyprowadzić się z „nawiedzonego” domu. Dlaczego więc, chociaż nie wierzymy w duchy, z wypiekami na twarzy powtarzamy sobie historie o domach, w których straszysz? Dlaczego od zawsze są one nieodzownym elementem miejskiej specyfiki? Wybierzmy się na spacer po mieście śladami duchów, a dreszczyk emocji, który poczujemy, pozwoli nam znaleźć odpowiedź.

• **Mikołaj Adamczuk,
Kamil Korobkowi**